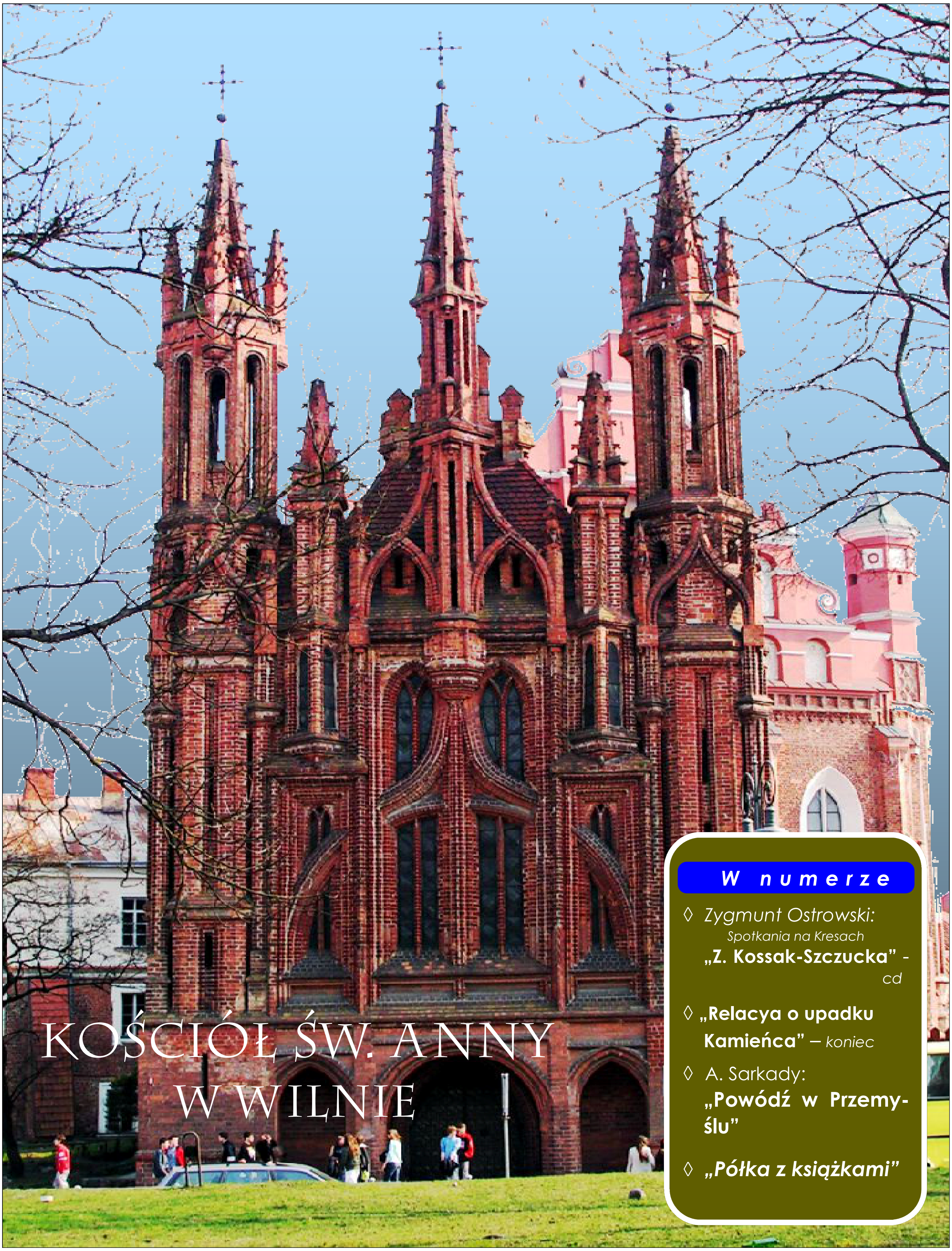
STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856

Nr 05/2011
71

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE



KOŚCIÓŁ ŚW. ANNY W WILNIE

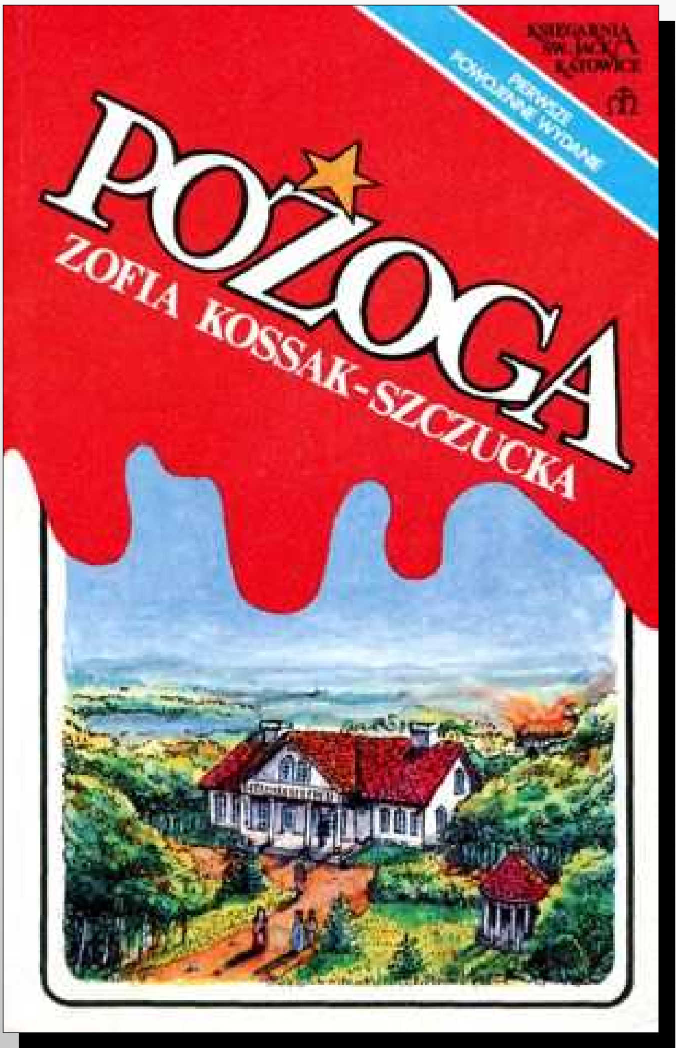
W numerze

SPOTKANIA NA KRESACH

Biografie słynnych Polaków

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA – cd

Zygmunt Ostrowski
SPP – Warszawa



O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.

Pan Tadeusz (Adam Mickiewicz)
Księga Jedenasta: „Rok 1812”

Za przykładem Adama Mickiewicza postanowiłem zainteresować tych komu wiedzieć należy, że lata te pięknie opisała Zofia Kossak Szczucka w swojej książce pt. „Pożoga – Wspomnienia z Wołynia 1917–1919” (*wyd. Księgarnia św. Jacka – Towarzystwo im. Zofii Kossak, Katowice–Cieszyn 1990, w stulecie urodzin autorki*).

Przedmowę do tej książki napisał profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisław Estreicher. Przedstawiam ją tutaj w całości .

W jednym z rozdziałów tej książki Zofia Kossak Szczucka omawia powstawanie Polskich Formacji Wojskowych na Wołyniu.

Jako naoczny świadek bolszewickiego terroru Zofia Kossak Szczucka informuje jak samorzutnie i ochotniczo powstawały jednostki Wojska Polskiego z rozbitków Armii Carskiej, do której zmobilizowano setki tysięcy Polaków. Z byłych żołnierzy powstał partyzancki szwadron porucznika Feliksa Jaworskiego z siedzibą w Płoskirowie (obecnie Chmelnyćkyj).

W okresie zamętu powstałego po wybuchu Rewolucji Bolszewickiej w Rosji por. Feliks Jaworski bronił ziemian polskich na Wołyniu i Podolu przed opryszkami podburzanymi przez propagandzistów bolszewickich. Jako nieustraszony partyzant zdołał przepędzić ze Starokonstantynowa bolszewików i w pobliskich Antoninach zorganizował paradę zwycięstwa. Defiladę odbierali: Jenerał Michaelis, jenerał Leśniowski, pułkownik Suszyński, adiutant Węgłowski oraz kilku innych oficerów. Defilującymi jednostkami dowodzili porucznicy: Naruszewicz, Szczucki, Pruszanowski, Tański i Peretiakiewicz.

Przed defiladą przemawiał jenerał Michaelis który mianował porucznika Feliksa Jaworskiego na rotmistrza.

Wspomnienia Zofii Kossak Szczuckiej zawarte w „Pożodze” poszerzają naszą wiedzę o czasach rewolucji bolszewickiej i pozwalają zrozumieć motywy podjęcia wyprawy na Kijów w 1920 r. przez Józefa Piłsudskiego, który mając w swoim wojsku takich bohaterów jak Feliks Jaworski był przekonany, że uda mu się z marszu pokonać bolszewików.

Wyprawę na Kijów J. Piłsudski zorganizował razem z atamanem Semenem Petlurą, który w latach 1917–1918 był dowódcą wojsk ukraińskich powołanych przez Ukraińską Centralną Radę, a następnie Dyrektoriat.

Wojska Petlury zasłynęły z pogromów Żydów na Ukrainie. W Płoskirowie istnieje duży obelisk poświęcony pomordowanym Żydom.

Po przegranej wojnie z bolszewikami w 1920 r. Petlura udał się na emigrację, gdzie został zastrzelony przez Żyda.

PRZEDMOWA DO WYDAŃ PRZEDWOJENNYCH „POŻOGI”

Książka p. Szczuckiej, którą obecnie Krakowska Spółka Wydawnicza przedkłada czytelnikom, jest zjawiskiem niezwykłym z podwójnego punktu widzenia: jako dokument historyczny i jako utwór literacki.

Jest naprzód niezwykłym dokumentem historycznym. Autorka przebyła opisywane przez siebie czasy (1917–1919) na nieszczęśliwej ziemi wołyńskiej, po której przewalały się wojska rosyjskie, niemieckie i austriackie, pułki bolszewickie, watahy petlurowców, oddziały galicyjskich siczowników i bandy zrewolucjonizowanego chłopstwa. W odległym od wydarzeń europejskich zakątku, w szczelnie odciętej od powstającego właśnie państwa polskiego ziemi, działy się rzeczy wielkie, o całej przyszłości tego kraju na długie czasy decydujące. Padał w gruzy dawny porządek, oparty na rządach dynastii carskiej, ale zarazem starano się także doszczętnie zburzyć wszelkie ślady dominującej tam kulturalnie polskości. Autorka patrzała z bliska na postęp tych usiłowań i miała sposobność obserwować je jak najdokładniej, będąc jedną z ich ofiar.

Z niesłychanym darem plastyki opisuje nam w kilkunastu rozdziałach wszystko, co przeżyła i przecierpiała w tych latach. Opis jej ma charakter wierności i – co równie może ważne – obiektywności. Nie daje się unieść poczuciu osobistej i narodowej krzywdy, umie się wznieść do wyższego, ludzkiego punktu widzenia. Stara się nie poniżyć nikogo, nie zasłaniać win niczyich, nawet naszych, zrozumieć wszystko. Szczególną wagę jej opisowi nadaje rysujące się w oddali, znakomicie podmalowane tło rewolucji rosyjskiej, a więc jednego z najdonioślejszych wypadków dziejowych XX stulecia.

Kolejne postępy tej rewolucji na Wołyniu, zarówno w duszy ludu, jak i w zewnętrznych swoich skutkach, przedstawia autorka w sposób jasny i dokładny, tak, że już ta strona jej dzieła zapewnia mu charakter bardzo ważnego przyczynku do zrozumienia i odtworzenia tak skomplikowanego zagadnienia, jak dzieje upadku najpotężniejszego –zdawałoby się – europejskiego mocarstwa. Toteż opis wydarzeń, jakie ludność, czy to polska czy to ruska, przeżyła od wybuchu rewolucji rosyjskiej aż do wkroczenia pierwszych oddziałów regularnych wojsk polskich, będzie z pewnością raz na zawsze jednym z najcenniejszych i najwiarygodniejszych materiałów dla przyszłych historyków tych wypadków.

Ale nad obiektywną wartością historyczną góruje z pewnością artystyczna i subiektywna strona dzieła. W autorce, dotąd nieznanej, zabłysnął pierwszorzędny talent literacki, jakiego mógłby jej pozazdrościć niejeden pisarz głośny i od lat już wielu uznany. Już sama doskonała kompozycja dzieła, rozpoczynająca się słoneczną sielanką młodości a stopniująca coraz to silniejsze i groźniejsze akordy aż do wspaniałego końcowego *finale*, poświęconego chwilom oczekiwania na wojska polskie – świadczy o wielkiej dojrzałości talentu. Ale i poza tym jakiż wielki dar odczuwania i charakteryzowania, jakaż zdolność ujmowania swych wrażeń, spostrzeżeń i myśli w formę artystyczną! Autorka rozumie i umie opisywać nie tylko zewnętrzną, malowniczą stronę wydarzeń – ale i wnikać głęboko w dusze ludzkie.

Wszystkim, którzy tę książkę przeczytali, muszą trafić do przekonania i do serca podane przez nią charakterystyki, czy to poszczególnych ludzi, czy to mas zbiorowych przewalających się przez zapadły kąt Wołynia. Jakżeż trafnymi, subtelnymi i głębokimi są np. charakterystyki poszczególnych wojsk i oddziałów narodowych, które autorka kolejno odtwarza: charakterystyka wojowniczego, można nawet powiedzieć rycerskiego Kozaka, w porównaniu do rdzennego, o tyle niżej odeń stojącego Rosjanina; charakterystyka bolszewickiego żołnierza, wielkoruskiego czy azjatyckiego, wypuszczonego, jakby dziki zwierz z klatki, z pęt dyscypliny wojskowej i przemieniającego się istotnie szybko w szalejące zwierzę; przeciwstawienie burzycielskiemu instynktowi Wschodu, tatarskiemu popędowi niszczenia – elementarnej, podświadomej miłości ziemi i pracy budowniczej oraz duchowi religijnemu, właściwym ludowi polskiemu, patrzącemu z oburzeniem na szał, jaki ogarnął zbolszewiczałą ludność ruską i rosyjską; mistrzowska charakterystyka oddziałów ochotniczych polskich i ich wodzów, a zwłaszcza niezwykłej, władczej indywidualności najznakomitszego z partyzantów – Jaworskiego; charakterystyka niewiast kresowych, przypominających i dzisiaj jeszcze najbujniejsze, przez historyków kresów słusznie sławione typy z naszej przeszłości.

Autorka ma szczególny dar wnikania w te tak różne dusze ludzkie. Subtelność odczucia kobiecego łączy przy tym z głębszym, filozoficznym poglądem na istotne motywy osób i mas zbiorowych – a te ustępy jej książki, w których spowiada nam się ze swojego pojmowania sprawy bytu i niebytu, sprawy życia i śmierci, przypadku i konieczności, przyczyny i skutku wszelkich, najdrobniejszych nawet wydarzeń – należą z pewnością do najbardziej interesujących w książce. Rozsiane są po niej w różnych miejscach, a zestawione razem ze sobą, dają nam sylwetę gorąco wierzącej, serdecznie czującej, zadumanymi oczami na to, co się dzieje dokoła, patrzącej duszy kobiecej.

Dodajmy jeszcze do tego rozumny sposób ujmowania wydarzeń i zjawisk społecznych, tak skomplikowanych i tak bolesnych, ale tym bardziej właśnie domagających się od nas bezstronnej analizy, czego przykładem są np. wszystkie karty poświęcone stosunkowi ludu ruskiego do ziemian polskich, albo znaczeniu praworządności w naszym życiu społecznym obecnym i na przyszłość – a wartość poniższych kart wyjdzie w jeszcze jaśniejszym świetle. Ale charakterystyka ich byłaby niezupełna, gdybyśmy jej nie zakończyli podkreśleniem wielkiego zrozumienia nie tylko dla duszy ludzkiej, zbiorowej czy indywidualnej, ale i dla całego świata przyrody, jakie z kart tych przebija. Charakterystyka bujnej, przepięknej, bogactwo i urok kraju stanowiącej przyrody wołyńskiej należy do najcelniejszych miejsc książki. Ile razy autorka dotknie się tego przedmiotu, czuć, że wyrosła nie tylko na tej ziemi, ale i z tej ziemi, że ją łączy z ziemią rodzinną węzeł najświętszy i najsilniejszy: węzeł ukochania ojczyzny.

Książka jest istotnie niepospolita. Bije z niej szczerość, prawda i uczucie, a wszystko to są przymioty w twórczości literackiej bardzo rzadkie. – Będzie z pewnością szeroko czytaną i omawianą. Przynosi ze sobą gorące tchnienie miłości naszych pięknych kresów, gdzie duch polski od wieków i tak wiele pracował dla zbudowania zachodniej cywilizacji, i tyle istotnie zrobił, ale skąd na odwrót odebrał tak wiele podniet, tak znakomitej doczekał się odpłaty. Niesie ta książka z sobą miłość ojczystych kresów; niechajby w zamian przyniosła naszym kresom zrozumienie ich tragicznej doli i postanowienie wytężenia sił narodowych, aby najpiękniejszemu, najszlachetniejszemu dziełu poprzednich pokoleń nie dać upaść do reszty w gruzy.

STANISŁAW ESTREICHER



KAZIUKI

czyli doroczny jarmark w Wilnie

Z. Ostrowski
SPP – Warszawa

Wyjeżdżam corocznie do Wilna na „Kaziuki”. Kiedyś pomyślałem sobie, żeby zrobić przerwę. Nie zrobiłem jej jednak, gdyż nie mogłem sobie wyobrazić, co będę robić w Warszawie, podczas gdy inni tam będą. Pojechałem i będę jeździł dopóki mi sił starczy!

Każdego roku wyjazd na Kaziuki organizuje PTTK, które w bieżącym roku zrobiło nam niespodziankę zawożąc nas pod wieżę telewizyjną w Wilnie. Zdecydowałem się wyjechać do restauracji znajdującej się



na wysokości 160 m. Z tej wysokości roztacza się widok na odległość 45 kilometrów, a może nawet widać „prawie pół Litwy”.

Wieżę telewizyjno–radiową zbudował Związek Sowiecki żeby zapewnić dobry obraz telewizyjny żołnierzom Armii Czerwonej stacjonującej wzdłuż wybrzeża Bałtyku.

A więc jestem każdego roku na świętego Kaziuka i w ten sposób oddaję hołd Polakom, którzy w okresie 600 lat spolonizowali Wilno do tego stopnia, że w okresie międzywojennym mieszkało w nim bardzo mało Litwinów. I każdego roku odkrywam w Wilnie coś nowego. Muszę odwiedzić mury Uniwersytetu Wileńskiego, który ukończyli – między innymi – Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Muszę też pokłonić się portretowi pierwszego Rektora Uniwersytetu Wileńskiego, Piotrowi Skardze.

Słowo Kaziuk oraz inne słowa takie jak Wilniuk oraz Kindziuk to rusycyzmy, które przeniknęły do języka litewskiego. Warto nadmienić, że ruskie miasto Nowogródek od połowy XIII w. był stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie w 125l roku Mendog przyjął chrzest oraz w 1253





roku koronował się w na króla Litwy.

Na czas Świąt Kaziukowych przed gmachem ratusza zbudowana jest trybuna, na której stoi prezydent Litwy i prezydent Wilna oraz inni dostojnicy nauki i kultury. Uczestnicy pochodu składają dostojnikom na trybunie dary, a prezydent wręcza zasłużonym Litwinom dyplomy profesorskie oraz dyplomy zasłużonych dla kultury Republiki Litwy.

Kaziuki, po litewsku Kaziukas trwają najczęściej 3 dni. Wszystkie place Wilna oraz wszystkie ulice zastawione są straganami w których sprzedaje się atrakcyjne towary oraz dzieła sztuki. Można kupić chleb wileński, wędliny domowej roboty, litewskie pierogi zwane „kibiniene", nalewki domowej roboty oraz tysiące różnych smakołyków. Są wyroby z drewna, wikliny oraz kowalstwa artystycznego. Są przepiękne palmy wielkanocne, rzeźby oraz malowane obrazy. Dla każdego jest coś miłego.

Odwiedzam też kościoły i cerkwie wileńskie i marzy mi się wydanie dzieła: „Opus magnum poświęcone historii i wartości kulturalnej olbrzymich kościołów wileńskich".

Fenomenalnym kościołem pod względem wartości artystycznych jest kościół na Antokolu pod wezwaniem Piotra i Pawła. Stiukowe postacie świętych nieuszkodzone w okresie minionych wieków świadczą o wysokich kwalifikacjach włoskich artystów, którzy te stiuki wykonywali.





Napoleonowi w 1812 r. marzyło się przeniesienie gotyckiego kościoła św. Anny do Paryża. Kościół ten to szkatułka wyrzeźbiona w cegle. Mnie zaś marzy się przeniesienie do Warszawy kościoła pod wezwaniem Piotra i Pawła.

Wileńska wieża telewizyjna to najwyższy budynek na Litwie. Jej wysokość to 326,5 metra, waga – około 25000–30000 ton.
Budowę wieży rozpoczęto 31 maja 1974 roku, zakończono i oddano do użytku 30 stycznia 1981. Podstawę wieży stanowi koło o średnicy 38 metrów i grubości około 1.5 metra.
Rdzeń wieży, o kształcie rury, zwężającej się ku górze (średnica dolnej części – 15 metrów; górnej – zaledwie 8 metrów), ma 190 metrów wysokości (18 pięter). Znajdująca się na wysokości 160 metrów część budowli waży około 3500 ton. Jej metalowy szkielet (100 ton) zebrano na ziemi i dopiero potem uniesiono na odpowiednią wysokość. Mieści się tu platforma widokowa oraz kawiarnia, mogąca pomieścić do 80 gości. Dzięki obracającej się podłodze platformy można oglądać całą panoramę Wilna i okolic nie ruszając się z miejsca. Przy dobrej pogodzie widoczność sięga nawet do 50 kilometrów. Platforma obraca się dookoła w ciągu 45 minut.

Do kawiarni prowadzą schody. Jest ich w sumie 917. Jednak goście częściej posługują się windą – podróż nią na samą górę zajmuje zaledwie 45 sekund. Winda porusza się z prędkością 4 m/s. Maksymalnie mieści się w niej 13 osób. Na szczycie wieży umieszczono anteny telewizyjne. 13 stycznia 1991 roku czołgi sowieckie okrążyły wieżę. Jej zajęcie umożliwiłoby transmitowanie sowieckiej propagandy na terenie całego kraju. W obronie wieży stanęły tysiące bezbronnych ludzi. 14 spośród nich zginęło. Ku ich czci obok wieży telewizyjnej wzniesiono pomnik, na pierwszym piętrze wieży znajduje się stała ekspozycja fotografii. Dzień 13 stycznia ogłoszono na Litwie świętem państwowym i nazwano Dniem Obrońców Wolności Litwy. W przededniu nowego tysiąclecia ozdobiona lampkami wieża telewizyjna w Wilnie stała się najwyższą choinką. Od tego czasu ozdabianie wieży na czas Świąt Bożego Narodzenia stało się piękną tradycją.



Zapoznajmy się jeszcze z interesującym artykułem ***Lucyny Dowdo,*** *dziennikarki z „Magazynu Wileńskiego"*

Wileńskie Kaziuki

Wileński Kaziuk od trzech wieków jest zwiastunem wczesnej wiosny. Święto to czasem jeszcze śnieżne, chłodne, a najczęściej słotne, jakże jest kolorowe. Bo wileńskie Kaziuki - chociaż na pozór są tylko rozpoczynającymi się w pierwszych dniach marca i trwającymi w Wilnie i okolicach czasem przez dwa tygodnie jarmarkami - w gruncie rzeczy od dawna już przekształciły się w największe, najdłużej trwające i najbarwniejsze święto miasta. Któż pochodzący z tych stron nie uczestniczył lub przynajmniej nie obserwował kaziukowych jarmarków? Ich tradycja liczy sobie już 300 lat z górą i trwa do dziś dnia. Zwykły kiermasz? O nie, sama poezja. Wszak kaziukowe jarmarki nieraz służyły natchnieniem dla ludowych poetów.

Jarmarki te Wilnianie zawdzięczają świętemu Kazimierzowi, synowi Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki, urodzonemu w 1458 roku na Wawelu. Kazimierz Jagiellończyk - syn był uczniem Jana Długosza, uczestniczył w wyprawach wojennych i „spotkaniach dyplomatycznych" w Malborku, był na Sejmie w Piotrkowie. Wiosną 1483 roku został wysłany na Litwę, gdzie pełnił funkcję podkanclerza, a przez dwa lata praktycznie sprawował władzę królewską. Był niezwykle nabożny i wykształcony. Zmarł w 1484 roku w Grodnie (obecnie Białoruś) w wieku lat 26. W 1602 roku został przez papieża wyniesiony na ołtarze. Był jednym z pierwszych świętych na Litwie, jest jej patronem. Szczątki św. Kazimierza złożone w srebrnej trumnie spoczywają w Katedrze Wileńskiej.

Kaziukowe pochody i jarmarki organizowano w Wilnie praktycznie od 1636 roku. Rozpoczynały się zawsze w dniu św. Kazimierza, czyli 4 marca. Pochodom towarzyszył orszak przebierańców, handlarzy, kuglarzy. Od 1935 roku na czele takiego pochodu jechał przebrany za św. Kazimierza Wilnianin. Oto jak zapowiadał kolejnego, w tym właśnie 1935 roku, Kaziuka „Kurier Wileński": „W roku bieżącym odbędzie się pochód, będący propagandą wyrobów regionalnych. Na wozach będą paradowały przez miasto palmy, pierniki, zabawki, len wileński, kukiełki. Ponadto udział weźmie kapela wiejskich muzyków ze wsi Szaterniki, dwa chóry z Rudziszek i Kowaliszek w barwnych strojach ludowych".

Jarmarki początkowo prowadzone były na wileńskim Placu Katedralnym, od 1901 roku przeniosły się na Plac Łukiski (największy plac w Wilnie). Potem przestały się mieścić nawet tu, ponieważ na targi zjeżdżało ponad 250 wozów. Byli to przede wszystkim ludzie z Wileńszczyzny i obecnej zachodniej Białorusi. Targowisko słynęło z przedmiotów gospodarstwa domowego. Zwożono tu wyroby drewniane, kute, ceramiczne, tkane - wszystko cokolwiek mogły ręce ludzkie w czasie długiej zimy zrobić.

Oprócz stosów drewnianych balii, beczek, niecek, cebrów, sprzedawcy układali wyroby kuszące oko każdej gosposi - łyżki, wałki, stolnice; dalej wyroby z łozy i leszczyny - kosze do bielizny i podróżne kuferki, meble i malowane koszyczki. Można tu też było kupić zwoje samodziałowych płócien cienkich i kurzelnych, ozdobione frędzlami ręczniki, wyroby garncarskie, wśród których królowały formy na wielkanocne baby, makutry, dzbanki i dzbanuszki oraz ma się rozumieć - tysiące piszczałek w kształcie kogucików, koników i gołąbków.

Tło muzyczne dla tych kolorowych jarmarków tworzyli nieodmienni kataryniarze wraz z papugami, które na życzenie klienta wybierały z koszyczka kartę z „prawdziwą przepowiednią". Żaden Kaziuk nie odbył się też bez słynnych smorgońskich obwarzanków, które „reklamowano" dowcipnie okrzykami (w wileńskiej gwarze): „Obwarzanki sprzedają, dziurki darmo oddają".

Wileńskie Kaziuki były chyba prekursorem dzisiejszych Walentynek. Sprzedawano tu pierniki - serduszka, przebite strzałą, kupowane dla ukochanej w dowód przywiązania. Niektóre z nich były ozdobione zabawnymi lukrowanymi napisami-wyznaniami (oczywiście w gwarze wileńskiej i oczywiście z błędami) w stylu: „Kaziukowa serca dają, bo na złotnia mnie nie staja. Zapamiętaj sobie dzień, gdy ja mówił kocham cień", „Weronicia, moja życia, daj mnie igła, daj mnie nicia, a ja wezma serca swoja i przyszyja tam, gdzie twoja...". Były na serduszkach napisy bardziej zwięzłe, ale równie wymowne: „Całuja ciebia - moja kroszka" lub dla odmiany: „Serca moja hyc na twoja - powiedz, czy ty będziesz moja?". Zdarzały się i dedykacje ociekające krwią: „Żebysz była moja i wiecej niczyja, serca moja dratwo do twego przyszyja".

Nie wiem, jak tam było z małżeństwami, ale starzy ludzie powiadają, że dziewczęta z Wileńszczyzny serduszkami tymi ozdabiały ściany swoich mieszkań, bo podobno przynosiły one szczęście w miłości.

Na kaziukowym jarmarku można było kupić wszystko, nawet konia z wozem, ale od wielu, wielu już lat i do dziś dnia królową każdego takiego jarmarku była i jest wileńska palma - małe dzieło sztuki wyczarowane sprawnymi rękami tutejszych mistrzyń, wyplatane z suszonego kolorowego zielska, na pamiątkę palm, którymi według Biblii, witano wjeżdżającego do Jerozolimy Chrystusa.

W Litwie sowieckiej oficjalnie

na handel palmami zezwolono dopiero w 1970 roku. W czasach narzucanego ateizmu można było je uratować tylko izolując od religijnych treści, podkreślając charakter twórczości ludowej. Dlatego z Palmowej Niedzieli przeszły palmy na Kaziuki właśnie oraz na inne jarmarki i kiermasze. Lansowano je nawet na powszechnie popularne naonczas święto Kobiet, czyli na 8 marca. Ale do palm jeszcze wrócimy.

Po wojnie, w czasach radzieckich kaziukowe jarmarki zepchnięto z głównych miejskich placów na wileński rynek Kalwaryjski. Ciasny i wiosną nieodmiennie tonący w błocie. Zresztą, jaki to był Kaziuk? Kilka drewnianych balii, trochę koszy, dzbanów, palm i piszczałek. Władzom nie zależało na kultywowaniu tej tradycji, więc jarmark był niemy, bez podkładu muzycznego w postaci muzycznych kapel, odarty z przedwojennej atmosfery, zredukowany do handlu pseudoludowymi wyrobami.

Po odrodzeniu na Litwie niepodległości (po 1990 roku) wileńskiemu Kaziukowi stopniowo przywrócono splendor, nadano odpowiednią oprawę i wpuszczono na starówkę. Zdarza się tak, że jarmark jednocześnie odbywa się w kilku miejscach: na rynku Kalwaryjskim, pod Halami (też rynek) i ten najbogatszy - w sercu starówki, na ulicach Zamkowej i Wielkiej aż do placu Ratuszowego.

I od dziesięciu już lat wileński Kaziuk ponownie gromadzi tysiące ludzi. Trudno jest przez ten tłum się przedrzeć, łatwo się w nim zgubić, ale rzecz zachodu jest warta.

Dzisiejszy kaziukowy jarmark nie ustrzegł się tandety i obok glinianej piszczałki można tu kupić chiński plastikowy breloczek. Ale powróciły też prawdziwe drewniane beczki, gliniane dzbany, wiklinowe kosze i kolorowe pisanki (z drewna, szkła, ceramiki, porcelany, a i tradycyjne wydmuszki). Niestety na dzisiejszym kaziukowym jarmarku nie kupisz już serduszka -pierniczka z napisem „Serca moja hyc na twoja…”, można natomiast nabyć kilkadziesiąt rodzajów przepysznego litewskiego razowca, często wypiekanego w wiejskim piecu domowym sposobem. Przy straganach można się też uraczyć nieklarownym piwem domowego wyrobu i najbardziej typowym litewskim daniem - cepelinami (gotowane pyzy z surowych tartych ziemniaków, nadziewane mięsem i suto zaskwarzane).

Powstała też nowa tradycja. W pobliżu Ratusza z grubo ciosanych bali buduje się całą stylizowaną wioskę. W licznych chałupach swój kunszt demonstrują ubrani w stroje ludowe rzemieślnicy: garncarze, rzeźbiarze, kowale, kaletnicy, tkaczki, bednarze, koszykarze. Powstające na oczach ciekawskich wyroby można oczywiście kupić.

Natomiast nie ujrzysz już na Kaziuka kataryniarza, ale tę lukę stopniowo wypełniają ludowe kapele i podwórkowe teatrzyki (przeważnie studenckie) oraz studenci zabawiający przechodniów kuglarskimi sztuczkami.

Obecne Kaziuki różnią się od tych przedwojennych i tym, że rzadko w tym barwnym, rozbawionym tłumie kupujących i sprzedających słychać polską mowę. Rzadko, ale na szczęście słychać. Po polsku można śmiało rozmawiać z palmiarkami oferującymi najpiękniejsze wyroby. Mistrzynie tego kunsztu to Polki z podwileńskich wsi. „Mietliczki już w sam raz, w ta pora trzeba zbierać. Muszą być akuratnie w miarę rozpęknięte, ale nie za wiele, bo wtedy sypią się, a i palma wygląda do niczego, jakby z jakim puszystym chwostem. Kiedyś po mietliczki na jezioro Wileńskie i pobliskie łąki dzieci chodziły, dziś je kołem nie zapędzisz” - opowiedziały mi palmiarki z podwileńskiej wsi Krawczuny. Tu prawie w każdym domu panie od pokoleń parają się wiciem (nie wyplataniem, a właśnie wiciem) palm.

Z mietlicy robi się szczegół istotny - zakończenie palmy. Może być biała, albo naturalna szarawo-brązowa. Ale ładnie też wygląda farbowana na zielono, żółto, w różne odcienie fioletu albo łączona ze wszystkich tych kolorów, co kto lubi. Żeby była prawdziwa palma, muszą być suchotniki, krwawnik, tymotka. Po te drobne kwiatki, jak powiadają palmiarki, najlepiej wybierać się przed świętym Janem i o świcie. Wtedy są najpiękniejsze, bo w czerwcu wiadomo, kwiaty mają najjaskrawszą barwę i są najtrwalsze. Najpiękniejsze i najprawdziwsze wileńskie palmy to są tzw. Wałeczki.

Kiedyś pani Jadwiga Kanicka z Krawczun wymyśliła niemal dwumetrowe palmy-giganty (niejedną taką otrzymał w prezencie Jan Paweł II). Są to prawdziwe dywany z suszonego zielska: z wyplatanymi sercami i dużą literą „K”, co oznacza „Kaziuk”. Zaś na początku lat 90, we wsi Sałaty mistrzynie uwiły na palmach specyficzne wypukłe „brzuszki” z kłosów. Nazwano je „koroną świętego Kazimierza”, zjawiły się też „rumianki” i „ptasie piórka . Wieś Nowosiłki słynie z prześlicznych „fanarów”, czyli palm w kształcie kolorowych latarenek. Z kolei w Wilkieliszkach robią „astry” i „grzybki. Zmienia się moda i na kolory. Od dawnych tradycyjnych, co to aż „oczy rwały”, poprzez szare aż po czarne. Na przykład wieś Szmygle słynie z tzw. „palm litewskich”, czyli wyplatanych z niemalowanych kłosów.

Podwileńskie palmy są rozproszone po całym świecie. Znajdziesz je w całej Europie, w Stanach Zjednoczonych, w Australii, w Brazylii, w Peru. Sądzę, że pojedyncze dotarły i do Kanady, ale takiej feerii barw, jaką tworzą podczas kaziukowych jarmarków nigdzie poza Wilnem nie uświadczysz.



Tego wieczora na Zamku płacz, jęk i lament rozlegał się straszny; prócz Wołodyjowskiego bowiem mnóstwo ludzi zginęło, mnóstwo też rannych gruzami przywalonych leżało. Z samego regimentu księdza krakowskiego padło trzech chorążych, czwarty Kurowski był ciężko ranny; żołnierzy zaś prostych 290 liczono. Kapitan Król i młodzian generała Horaim zginęli. Regiment pana Krasińskiego więcej jeszcze ucierpiał, bo krom oficerów 500 żołnierzy poległo a z nimi i ci, którzy naonczas właśnie żywność na zamku wybierali. Wszystkich ciał wieczora tego niepodobna było spod kamieni wydostać; te później dopiero Turcy wyciągnąwszy, wzgardliwie z murów zamkowych zrzucali. W jaki sposób do tak straszliwego wybuchu przyszło, nie wie nikt, jeno na majora Heikinka[70], który wszystek cekaus[71] miał w dyspozycyi jest posądzenie, iż to on z desperacyi prochy podpaliwszy, siebie i drugich w powietrze wysadził. W chwili, gdy prochy ogień rzuciły, wszystkie działa, które w pośrodku zamku z kartaczami stały, wypaliły od razu. Młody szlachcic Markowski, którego nawpół żywym opodal zwłok Wołodyjowskiego znaleźli, powiadał nam potem, iż pułkownik stojący właśnie konno w dziedzińcu, widząc te ognie, chciał się za wał usunąć, gdy go kartacz lecący w głowę ugodził.

Przez całą noc Wąsowicz stał w paradzie przed mostem zamkowym, miasto od złego strzegąc. O świcie Turcy wjechali, Wąsowicz zaś ustąpił, bo już ich panowanie początek brało. Był Janczar-Agi posłany z żądaniem, by mu klucze do bram złożono. Starosta na to nie odrzekł i słowa, jeno się ku mnie obracając rozkazał: "Oddać mu bramę", poczem ciszej, niemal ze łkaniem dorzucił: "Biedniśmy człowiecze". Musiałem tedy z tłumaczem iść do Janczar-Agi. Był to człek poważny, choć młody, urodą swoją do pana Silnickiego[72] podobny, w żupan

[70] „Pan major artyleryi, zamknąwszy się w wieży, gdzie było koło dwóch set beczek prochu, siadłszy na beczkę zapalił się lontem i ostatek zamku z gruntu wyrzucił”. – Z odpisu tek Naruszewicza. Zob.: Acta historica, Res gestae Poloniae illustrantia. Wyd. R. Kulczycki. Tom II, s. 1060. (Przypis z wydania z 1886 r.)
[71] Powinno być: cekhauz – arsenał, zbrojownia.
[72] Prawdopodobnie Gabryel Silnicki, kasztelan czernichowski, później komisarz przy traktatach buczackich. (Przypis z wydania z 1886 r.)

szkarłatny z weneckiego atłasu i takąż ferezyę aksamitną sobolami podbitą pięknie przyodzian. Za nim dwóch zbrojnych ze straży przybocznej stało. Krótko się z nami rozmówiwszy, Aga przydał mi rotę janczarów, którzy kwaterę moją objąć mieli, wszelkich im przytem zaczepek lub nadużyć w mieście surowo zakazując.

Dnia tego chyba i po śmierci nie zapomnę. Nasamprzód Turkom Ruską Bramę tak krwawo bronioną oddałem. Poczem do gospody wracając, musiałem myśleć na tem, by póki jeszcze Bisurmanie dozwolą, ciała towarzyszy godnie pogrzebać. Jeden z tych, chorąży pułku biskupiego Siekierzyński na Zamku też był poległ, a spod kamieni wydobyte jego zwłoki gołe zostały. Te, wedle możności oporządziwszy, poszedłem do Wołodyjowskiego. Tu stryj zmarłego, ksiądz gwardyan Wołodyjowski przy łożu klęczał. Starzec modlił się, łzy gęste po twarzy jego spływały, a oczy zdały się gdzieś daleko w przyszłość spoglądać. Naonczas patrząc w tę twarz natchnioną, przyszły mi na myśl słowa dawno już, przed paru laty z ust jego słyszane. On ci wszystkie nieszczęścia nasze w proroczem objawieniu oglądał i wszystkie przepowiedział. My je naonczas za sny błahe mieli, a dziś się widzenia spełniły. Obecność moja przerwała modlitwę gwardyana; do izby za mną byli pachołcy trumnę przynieśli, którą zbić na prędce kazałem – do niej my ciało rycerza z ostatniem pożegnaniem złożyli.

Od Wołodyjowskiego poszedłem zwłoki Humieckiego odwiedzić, które niepogrzebane jeszcze na stole w mieszkaniu jego leżały. Bóg widzi wiele podczas tej drogi krzyżowej sił mi było potrzeba, by w sobie żal serdeczny hamować. Bóg tak chciał. Jemu niech będzie chwała! Wszakże ten dług śmierci wszystkim nam iścić wypada, taki jest wyrok podany nam z nieba. Otóż ziścili go ci, co polegli, nie usunęli się od wykonanej przysięgi – niechże więc tam przed Bogiem dziś za nas się modlą, byśmy fortecę odebrawszy, w kościołach naszych cześć Mu oddawać mogli.

Koniec dnia tego spędziliśmy radząc o wyjeździe z Kamieńca; wprzód jednak trzeba nam się było cesarzowi pokłonić. Zaczem w poniedziałek rano ruszyliśmy z miasta. Tłumacz z Turkiem, który nas prowadził, jechali przodem, po bokach zaś dwóch janczarów biegło, Ordę palcatami odganiając, by nam który Tatar czego nie porwał. Wiedli nas wśród ruin i gruzów przez Stary Zamek, fosą w bok od Nowego, a stamtąd nie bramą ale onym wyłomem, gdzie onegdaj jeszcze Wołodyjowski cały szturm turecki odpierał. Dziś już w tem miejscu nieprzyjacielskie moździerze z kupami granatów w gotowości stały. Spuściwszy się z wałów, wkroczyliśmy w obóz. Tu po obu stronach ciągnął się bazar, to jest mnóstwo kramów z towarami wszelkiego gatunku, przy których na ziemi różnorodne pieniądze w kupkach leżały. Siła też owoców było, które gdyśmy kupować chcieli, Turcy nam za darmo ofiarowali, ani szeląga nie biorąc. Po drodze janczarowie nasi wciąż nas musieli opędzać, taka się z ciekawości koło nas ciżba garnęła. Chwilę nawet, gdyśmy się już koło namiotów wezyrskich zbliżali, powstało zamieszanie; jed nemu szlachcicowi bowiem, który pojmanego Ordyńca wiódł, chcąc zań żonę z niewoli wykupić, jeńca tego porwano. Szlachcic jął wraz na janczarów krzyczeć, aż ci, napastników surowo odgromiwszy, Tatara oddać kazali.

Przed namiotem marszałka zsiedliśmy z koni i tu kazano nam szable odpasać. W namiocie z obu stron służba bogato przystrojona stała; cały środek był dywanem usłany, a na nim trzy krzesełka: dla biskupa, generała i podkomorzego. Nas zaś na prawo i na lewo podle ich umieszczono. W chwili gdy wszyscy zasiedli spuszczono piękną zasłonę, która namiot na dwie części dzieliła; co za nią było, nie wiem, bom tylko dostrzegł

dwa bogate wezgłowia na dywanie leżące. Wszedł tedy marszałek i po kilku oziębłych słowach powitania, dał znak i wnet trzech strojnych młodzieńców weszło niosąc trzy haftowane nakrycia, z których jedno białe generałowi a dwa czerwone biskupowi i podkomorzemu na kolanach złożyli, poczem jęli w czarkach kawę i sorbety obnosić coraz to nakrycia z kolan na bogatsze zmieniając. Od marszałka prowadzono nas między wielkie płoty do namiotów wezyra. Tu przy drzwiach świeciły piękne białe buńczuki ze złociestemi gałkami zacnej roboty. W pierwszej części namiotu janczarowie z bronią w ręku milczący stali; tamże po obu stronach niemało sandżaków[73] było. Druga część obszerna, misternym haftem, tak z wierzchu, jako i u ścian bocznych ozdobna, również kobiercem wysłana. Tu nas dziesięciu wpuszczając, tamtym u wejścia czekać kazano. Jedno tylko krzesełko było dla generała przeznaczone, ale ten je natychmiast biskupowi odstąpił, za co go tłumacz upomniał: Dla ciebie to krzesło dali a nie dla księdza, u nas księży nic nie poważają".

"U nas zaś – odrzekł generał – biskupów czczą wielce, ten jest biskupem i senatorem, jemu się więc pierwsze miejsce należy". Zaraz tedy drugi stołek dla generała przynieśli, na którym zasiadł, my po jego prawym boku stanęli, a Lanckoroński przy krześle biskupa pozostał. Po chwili ukazał się wezyr – obecni Turcy zamiast pokłonu podnieśli nagły okrzyk, po którym równie nagle ucichli; on zaś szedł zasiąść na przygotowanem wezgłowiu. Nam wonczas kazano iść do przywitania, to jest do całowania wezyrskiej ręki. Powstał tedy biskup i szedł najpierwszy, za nim szedł Generał, potem Podkomorzy, Rzewuski i Myśliszewski. Podkomorzy w tych ceremoniach mylić się nie mógł, miał je bowiem czas dobrze poznać w Krymie, dokąd na zakładnika za niewypłacony haracz posłany, długo przebywał. Po tem przywitaniu, wezyr życzliwie zapytał, jako się miewamy. Dobrze – odpowiedział biskup – skoro łaski cesarskiej doznajem, lecz nie dziwota, iż po tem co zaszło, jeszcze jakoby w odmęcie chodzimy". A na to wezyr: "Złego początek bywa nierzadko środkiem do dobrego, smutek jest początkiem wesela. Skoro dziś na was troska upadła, musi w tem być wola Boska, za czem wy jej sobie za żal nie poczytujcie, jeżeli zaś w czem krzywdę macie, powiedzcie".

"Krzywdy nie mamy – odparł biskup – jeno się o dwory nasze boimy, i że janczarowie już w niektórych stawają, na cesarski przykaz nie bacząc". "Tak musi być zrazu – rzekł wezyr – ale nie miejcie obawy, paktów dotrzymamy. Teraz podajcie mi. rejestr tych, którzy chcą z Kamieńca wyjechać, by im na czas podwód dostarczono". "Wprzód musim zrachować – odpowiedział biskup – po czem rejestr do rąk twoich poślemy".

Szlachta jęli wtedy o wioski swoje prosić, by w nich spokojnie pozostać mogli, na co im wezyr odrzekł: "Po wsiach bezpiecznie mieszkać możecie i pożytki, jakie z nich macie używać, ale co do chłopów wszelkie wasze prawa ustają, bo są cesarscy. Przykaz ten ściśle zachowujcie!" "Jakoż więc mamy na wsiach pozostać – spytałem – skoro chłopów naszych postradamy? Toż oni na własnych naszych gruntach siedzą, co Turkom pono jeszcze wiadomym nie jest". Tu jednak tłumacz na mnie skinął: "Darmo mówisz – rzekł – snać Turków nie znasz, byłoby to przeciwne ich prawom, gdyby wam chłopów pod moc pozwoli-li[74]". Wezyr tymczasem zwracając się do biskupa powiedział: "Na próżno napierają, tego od cesarza

---

[73] Chorągiew. (Przyp. z wyd. 1886)

[74] Z chwilą przyłączenia Podola do Turcji, chłopi przestawali być własnością szlachcica i stawali się bezpośrednimi poddanymi sułtana.

nie uproszą. W Wołoszech stało się to przez traktaty, tu się ich zaś przez miecz razem z fortecą pobrało. Podajcie mi rejestr wielu was wychodzi i jutro wraz niech wszyscy z miasta wyruszą. Konwój na drogę już gotów". Na dalszą prośbę, by konwój wyjeżdżających odprowadził ku Lwowu, wezyr odpowiedział odmownie, dopiero za mojem wstawieniem na to zezwolił, by nas do Stanisławowa powiedli. Przed wyjściem naszem z namiotu przyniesiono siedm złocistych ferezyj, w które starostę, biskupa, podkomorzego, Gruszeckiego, rotmistrza Myśliszewskiego i Rzewuskiego odziano. Siódmą dano Janickiemu, który nam za tłumacza służył. Potem już żegnaliśmy wezyra i na konie wsiadłszy, odjechali. Biskup tylko z podkomorzym u wezyra pozostał, ale o czem gadali, nie wiem.

Teraz jak pierwej, tłumacz z wiodącym nas Turczynem jechali przodem. Prowadzili nas przez majdan w prawo ku cesarskim namiotom, nie dając się wszakże więcej jak na pół stai przybliżyć. Cesarz siedząc w pośrodku namiotowej sali, przed którą sześć buńczuków sterczało, zdala się nam przypatrywał. Nam jednak trudno było osobę jego rozeznać, zwłaszcza, że naraz okropny widok uwagę naszą odwrócił. Przed nami na majdanie pięć odciętych głów trupich na ziemi leżało, mimo których nam jechać przyszło. Co te głowy miały znaczyć i dlaczego nam je tak przed oczy pokładli, nikt z nas nie śmiał zapytać. Milczący wyszliśmy z majdanu i wały minąwszy napowrót do miasta wkroczyli.

Tu natychmiast jęli się rachować, kto się wynosi, a kto w Kamieńcu zostaje. Pierwszy w rejestrze nazwisko zapisałem, za mną zaraz Józef Wasilkowski, rad że się jakbądź z piekła tego dostanie. Dalej Gruszecki, Rzewuski, Dziewanowski, Jarmoliński i Kazimierz Humiecki, który tu zwłoki brata swego zostawił. Oto którzyśmy jechali, krom generała, biskupa i licznej gromady wdów z sierotami i księży i czeladzi. Gródecki i Myśliszewski po długiem wahaniu postanowili pozostać. Obawiając się w drodze zdrady jakowejś od Turków, jadących przestrzegali by ich miasto konwojowania, w jasyr nie powleczono. Nas atoli Bóg ustrzegł, tych za to, którzy później z komisarzami po traktatach z Kamieńca wyjechali, wszystkich prawie okropna śmierć od zimna i niedostatków spotkała.

Nazajutrz ledwie dzień zaświtał, już na rozkaz wezyra kilkaset podwód zgromadzonych na rynku stało. Pieczę nad niemi panu burgrabiemu zlecono, by wozy między jadących wedle potrzeby rozdzielił. Pomimo tego stworzył się nieład; co kto mógł z domu wynosił i wśród płaczu i zgiełku na wóz ładował, większą część rzeczy jednak trzeba było zostawić a z niemi i całe zapasy żywności, których sprzedać już czasu nie stało. Około południa zjawili się przewodnicy tureccy; regimenty też nasze w gotowości do wyjścia stanęły. Wtedy gwar niesłychany nastąpił, zmieszane jęki, wrzaski i przeklinania. Jedni żegnali się z płaczem, insi jakoby pijani, krzyczeli wiwaty. Nareszcie ucichło. Wozy długim rzędem między nieruchomemi szeregami zbrojnych janczarów ku Ruskiej Bramie ruszyły. Przy bramie stał na koniu sam Janczar-Aga, bogato przybrany, gromadą inszych Agów otoczon. Gdy już część wozów wyjechała w pole, dano mu znać od wezyra, by tabor na chwilę zatrzymał, co uczyniwszy, jechał ludzi swoich szykować, co pod wodzą trzech baszów konwojować nas mieli. Zda się, iż rozkaz ten od samego cesarza pochodził, który kędyś z boku w małym namiocie ukryty, chciał się dowolniej pochodowi naszemu przyglądać.

Nas czekających w tyle, wstrzymanie to niepokoić poczęło, aż na znak nowy reszta wozów ruszyła, za niemi regimenta nasze bezbronne, a na końcu my ze starostą i biskupem na koniach. Z obu stron kopijami najeżon stał

mur janczarów, za nim zaś patrzące się i dziwujące niezliczone mrowie pogaństwa.

Za bramą zboczyliśmy nieco, by Janczar-Agę pożegnać, a potem na ubocz wprost ku Jańczyńcom ciągnęli. Tu u przeprawy mostku czekał nas Kaymakan, a z nim muzyka turecka, to jest bębny, trąby i szyposze, w które za zbliżeniem starszyzny uderzyli, kindyę oną grając, której dźwięk wśród oblężenia tylekroć nas budził. Generał – jak mówiłem – z nami w tyle jechał, pieczę nad taborem Rajeckiemu zleciwszy. Przed nami byli baszowie: Hussein i Bosna-Basza, ten ostatni z oddziałem Bośniaków. Najstarszy między nimi, Kaplan-Basza, ten sam, który później pod Lwowem hetmanił, zawierał pochód. Janczarowie w bok od taboru szli koszem, lecz z tych ledwie stu w koszyku było, luźne konie prowadzących – reszta na samym przedzie jechała, o wszystkiem co zaszło baszom wiadomość dając. Uzbrojeni byli w krótkie janczarki z rogiem do prochu, czapki zaś mieli ze skóry łosiowej, sterczące i jakoby rogate, z wierzchu których sztywne płaty po plecach wisiały. Wkoło taboru i janczarów, komunik[75] bezładnie latał, jako się diabłu godzi, po drodze siano w kopicach paląc, tratując ogrody a po wsiach za kurami goniąc. Wszystkich razem do 3000 było. Otoczeni tym rojem pogaństwa jechaliśmy tak w dal na wygnanie, a w trop za nami kindya turecka nieustannie brzmiała, jakoby kruków złowieszczych krakanie. Po drodze dwa zamki, to jest Kudryńce, przy którym i ja kawał ziemi miałem, i Krzywiec, własność generała Kąckiego, poddały się Turkom. Tu i ówdzie dolatywały nas wieści, iż kędyś w pobliżu wojsko polskie widziano. Bisurmanie niepokoili się, a nam aż serce od nadziei rosło. Mimo to jednak nic nie spotkawszy, po paru dniach dotarliśmy do Stanisławowa, gdzie nas konwój turecki opuścił. Odtąd już ja sam wraz z Dziewanowskim dalszy kierunek taboru objąłem.



Dnia 18 października Jan Lubowidzki, kasztelan wołyński, Gabryel Silnicki, kasztelan czernichowski i Szomowski, podskarbi nadworny koronny, komisarze Jego Królewskiej Mości w Buczaczu smutnej pamięci traktat podpisali, w moc którego Podole tureckim paszalikiem się stało.

Oto relacya moja obrony Kamieńca, do końca wierna; może przeczytawszy ją, niejeden z was inaczej nas osądzi. Wszak my już dosyć i bez tego cierpimy. Może Bóg zlituje się i zdejmie z nas sukienkę tej wiecznej niesławy, za co Mu tu i po śmierci chwałę wiekuistą oddamy. Amen.

KONIEC

[75] Oddział tatarski. Gdyby Turcy nie zapewnili uchodźcom z Kamieńca eskorty, najprawdopodobniej zostaliby oni w drodze do Stanisławowa napadnięci przez Tatarów lub kozaków Doroszenki, obrabowani i zawleczeni jako jeńcy na Krym, jeśli w ogóle udałoby się im pozostać przy życiu.

Pogrzeb Wołodyjowskiego w stanisławowskiej kolegiacie

Najważniejszą świątynią katolicką Stanisławowa była kolegiata, którą u schyłku XIX w. rozsławił Henryk Sienkiewicz, umieszczając tam scenę pogrzebu pułkownika Michała Wołodyjowskiego – Hektora kamienieckiego. Opis tego pogrzebu to jeden z najbardziej przejmujących fragmentów prozy Sienkiewicza w całej trylogii. Przypomnijmy: na wysokim obstawionym świecami katafalku umieszczono dwie trumny – ołowianą i drewnianą. To w nich złożone było ciało Wołodyjowskiego. Baśka chciała, aby jej mąż spoczął w Chreptiowie, ale całe Podole było już w rękach Turków i tymczasowo postanowiono pochować Wołodyjowskiego w Stanisławowie. W wypełnionym po brzegi kościele biły dzwony. Przy katafalku stali podkomendni pułkownika – Motowidło, Snitko, Nowowiejski i wielu innych oficerów ze stanicy chreptiowskiej. Przy katafalku krzyżem leżała na podłodze Baśka, a obok niej w tej samej pozycji trwał wierny przyjaciel Zagłoba. Wiemy, że wdowa przyszła za trumną piechotą aż z Kamieńca Podolskiego. Była odrętwiała i półprzytomna. Bladymi ustami szeptała w kółko: Nic to! – ostatnie słowa jej męża. Po trzykrotnym uderzeniu bębna na ambonę wszedł ksiądz Kamiński i w kompletnej ciszy wygłosił to słynne kazanie, w którym na koniec zawołał:

„Panie Pułkowniku Wołodyjowski!"

A w kościele rozległ się rozpaczliwy szloch Baśki. I wówczas Kamiński powtórzył:

„Na Boga. Panie Wołodyjowski. Larum grają! Wojna! Nieprzyjaciel w granicach, a Ty się nie zrywasz?! Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz? Co się stało z Tobą, Żołnierzu?"

Do dziś wchodzący do kolegiaty stanisławowskiej Polacy szukają tego miejsca, gdzie stał katafalk, i patrzą na ambonę, z której przemawiał Kamiński. Legenda przetrwała w Stanisławowie najgorsze czasy zacierania tu polskości.

Źródło:
„Księga Kresów Wschodnich" nr 2, Gród Rewery – Stanisław Sławomir Nicieja



Kolegiata

Powódź w Przemyślu

Przygotowali do druku:
Antoni Sarkady (Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej)
Maria Kaznowska (Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej)

W numerze 20/1909 wydawanych w Krakowie „Nowości Ilustrowanych" *ukazała się wiadomość o powodzi, która dotknęła Przemyśl. Artykułowi towarzyszą trzy fotografie dokumentujące wylew Sanu w owych dniach. Są to rzadkie ujęcia, wydaje nam się przeto, iż warto je pokazać współczesnym czytelnikom. Konkluzja anonimowego autora tekstu, że powódź wywoła zapewne dyskusję o sposobach uniknięcia podobnego kataklizmu w przyszłości, a po dyskusji władze zapomną o sprawie do następnej powodzi, brzmi bardzo współcześnie…*

Wiosna tegoroczna zapisze się w pamięci ludności naszego kraju smutnemi głoskami. Nietylko opóźniło się bardzo jej przybycie, nietylko zimno i śniegi, nawet w maju, uniemożliwiły rolnikom zabranie się do prac na roli, ale nadto długotrwała ulewa spowodowała w wielu stronach Galicyi wezbranie rzek i powodzie.

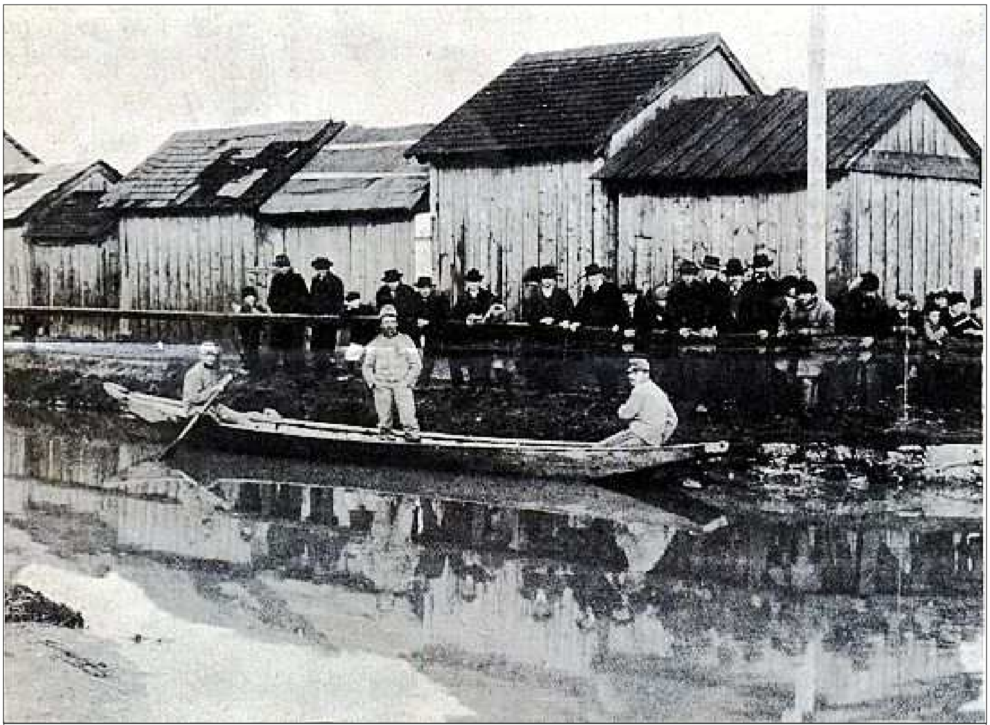
Bardzo dotkliwie odczuła tę klęskę ludność Przemyśla i jego okolicy, gdzie rzeka San wezbrała gwałtownie, a wystąpiwszy z brzegów w kilku miejscach, poczyniła olbrzymie szkody i spustoszenia.

Jak donosi nasz korespondent przemyski, najwyższy stan wody był w nocy z 6 na 7 maja. Ale już przedtem cały szereg wsi uległ zalewowi, a mieszkańcy ich mogli utrzymywać komunikacyę tylko za pośrednictwem łodzi. Wylew dosięgnął także Przemyśla, zwłaszcza jego przedmieść, które w ciągu niewielu godzin zmieniły się w istne jeziora.

A już wprost straszny i tragiczny był los ludności tamtejszej w ową krytyczną noc na 7 maja. Woda bowiem zalała nietylko pola, łąki i ogrody, ale wdarła się do mieszkań, bliżej Sanu położonych, niszcząc najzupełniej urządzenia ich i zmuszając ubogą ludność do



Powódź w Przemyślu: Przedmieście Przemyśla „Wilcza", zalane w zupełności falami Sanu



Powódź w Przemyślu: Pionierzy na łódce, służącej do komunikacyi podczas powodzi

schronienia się na strychy domów.

Łatwo pojąć i łatwo sobie przedstawić rozpacz bezgraniczną nieszczęsnych ofiar powodzi. Odcięci prawie zupełnie od świata, skazani na duszenie się w małych i ciasnych stryszkach, musieli patrzeć bezsilni i bezradni na klęskę, która ich nawiedziła, musieli z rezygnacyą oglądać dzieło zniszczenia i czekać zlitowania się Opatrzności.

Dopiero koło południa następnego dnia woda opadła o tyle, że można było powrócić do mieszkań parterowych. Ale też wówczas jeszcze fatalniej przedstawił się oczom biednych ofiar powodzi obraz klęski i zniszczenia. Dopiero też wówczas mogli biedacy ocenić, jak straszne szkody powódź wyrządziła w ciągu krótkiego stosunkowo czasu.

Ostatnie wylewy wywołają zapewne znowu dyskusyę w prasie i w parlamencie wiedeńskim na temat potrzeby jak najszybszej regulacyi rzek galicyjskich i uchronienia ludności przed ciągłem niebezpieczeństwem powodzi. Wnet jednak potem odnośne czynniki zapomną o klęsce i środkach zapobiegawczych a sprawa cała odwlecze się znów aż do następnej powodzi. Bo rząd... sprzyja krajowi.

Zamieszczamy dziś kilka zdjęć fotograficznych z Przemyśla, ilustrujących ostatnią powódź, która miasto i okolicę nawiedziła.



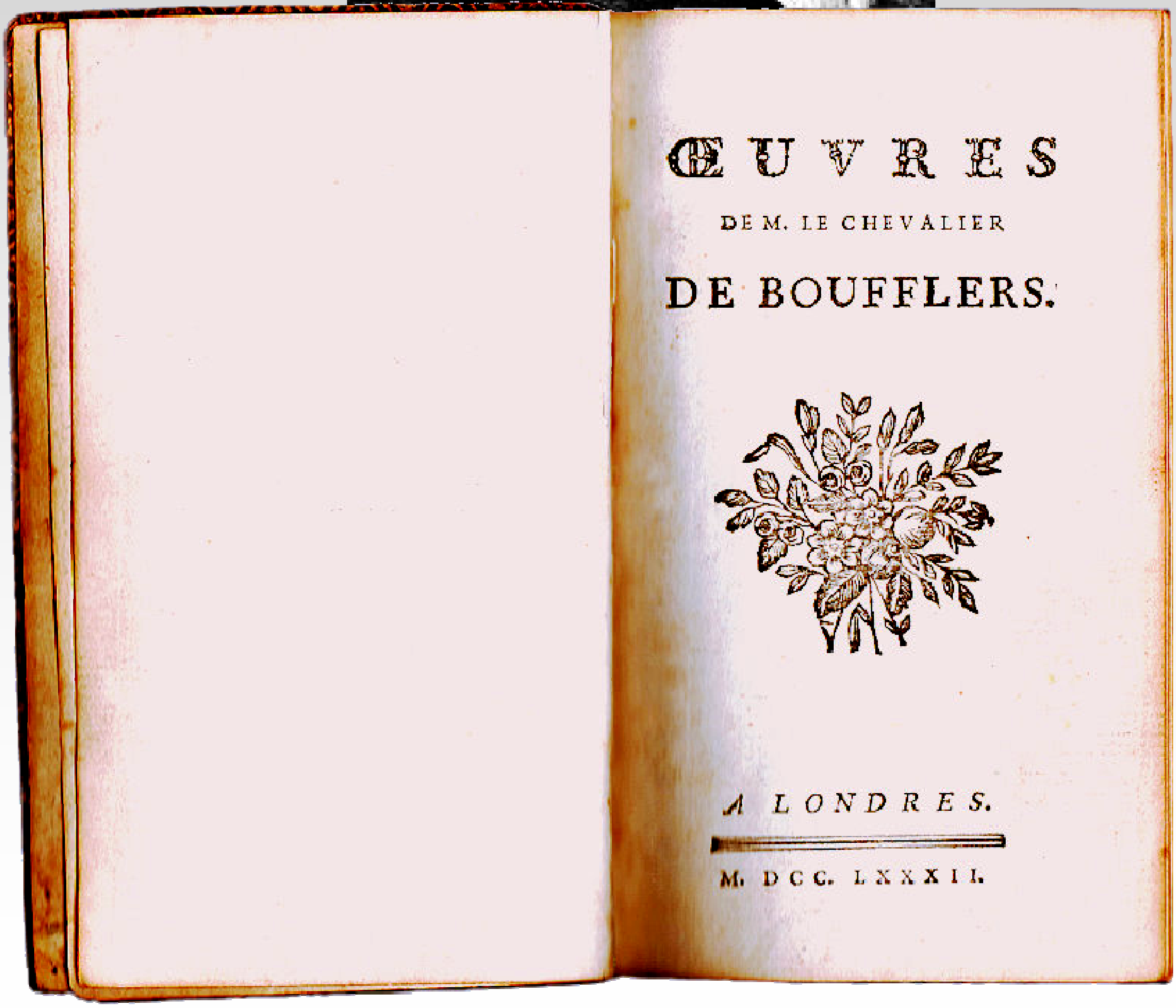
Powódź w Przemyślu: Jedna z ulic, położona bliżej Sanu

PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

Habent sua fata libelli



Biblioteka Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej ostatnio wzbogaciła się o kilkanaście woluminów pochodzących z księgozbioru zmarłej na początku bieżącego roku w Poznaniu, a pochodzącej z Przemyśla pisarki Zofii Bystrzyckiej. Książki ofiarowała mieszkająca w Poznaniu rodzina autorki, kierując się sentymentem wobec przemyskiego muzeum, którego jeden z oddziałów (Muzeum Historii Miasta Przemyśla) mieści się



w kamienicy należącej niegdyś do Bystrzyckich. Wśród ofiarowanych ksiąg na specjalną uwagę zasługuje francuski starodruk z tekstami dwóch autorów: Stanislasa de Boufflersa i Charlesa de Villette (*Oeuvres de M. le Chevalier de Boufflers* i *Oeuvres du marquis de Villette*, Londres 1782). Chociaż na stronie tytułowej jako miejsce wydania figuruje Londyn, prawdziwym miejscem wydania, jak podaje katalog Francuskiej Biblioteki Narodowej, jest Reims, drukarnia Huberta-Martina Cazina. Wolumin byłby więc jednym z nielicznych przykładów dokumentujących świadome zafałszowanie przez drukarza miejsca wydania. Należałby jeszcze tylko rozstrzygnąć, czym kierował się wydawca (lub autor) uciekając się do kamuflażu.

Książka ma wymiary 12,5 x 7,5 cm, liczy 196 stron. Oprawna jest w tekturową okładkę imitującą skórę. Krawędzie są złocone, co jest nie tylko elementem zdobiącym, ale też, jak stanowi wiedza introligatorska, ułatwia konserwację książki, gdyż trzeba pamiętać, że ze złoconych brzegów łatwiej usunąć kurz.

Jak wykazała analiza, starodruk jest wydawnictwem unikatowym, w Polsce jedynym. Co prawda dzieła S. Boufflersa posiadają Biblioteka Narodowa w Warszawie i Biblioteka Jagiellońska, by wymienić tylko najbardziej prominentne książnice, jednak żadna z nich nie ma wydania „londyńskiego". Co więcej, takiego wydania nie ma w Bibliotece Kongresu USA ani w British Library. Spośród najsłynniejszych bibliotek dzieło posiada tylko Francuska Biblioteka Narodowa.

Jak wspomniano, książka składa się z dwóch części, każda ma innego autora: pierwsza (autor: Stanislas de Boufflers) to *Aline Reine de Golconde* (*Alina, królowa Golkondy*), drugą część stanowią teksty Charlesa de Villette (tłumaczenie fragmentu *Iliady* oraz listy do i od Ch. de Villette'a).

Spośród dwóch autorów książki na uwagę zasługuje Stanislas de Boufflers (1738, Nancy – 1815, Paryż). Jest to postać dosyć znacząca w literaturze francuskiej, dla nas szczególnie intrygująca ze względu na polskie konotacje. Autor był bowiem synem Louisa Francoisa Boufflersa, kapitana gwardii króla Stanisława Leszczyńskiego, który, jak wiadomo, znaczną cześć długiego życia spędził na wygnaniu w Lotaryngii. Plotka głosiła, że syn Louisa Boufflersa w rzeczywistości jest nieślubnym potomkiem polskiego króla, a imię Stanislas nadano mu właśnie po królu. Faktem jest, że Stanisław Leszczyński był ojcem chrzestnym chłopca, a także zatrzymał go na swym dworze w Luneville aż lat młodzieńczych.

Los Stanislasa określono już w dzieciństwie: stan duchowny. Król Leszczyński zapewnił swemu protegowanemu stały dochód z majątku kościelnego (prebenda) w wysokości 40 tys. liwrów rocznie. Stanislas z niechęcią jednak przekroczył progi seminarium duchownego, gdyż lubił życie światowe i pełne rozrywek. W seminarium przy kościele św. Suplicjusza w Paryżu spędził tylko sześć miesięcy i w tym czasie właśnie, w wieku 23 lat napisał *Alinę, królową Golkondy* (1761). Opowieść ta wpisuje się w rozpowszechnioną w Oświeceniu fascynację Orientem (vide *Listy perskie* Monteskiusza lub *Zadig* Woltera). Jest sentymentalną historią dziewczyny porwanej przez piratów, a potem sprzedanej władcy wyimaginowanego państwa na Wschodzie. Alina zdobywa serce swego pana, a po jego śmierci w wyniku ciągu nieoczekiwanych zdarzeń spotyka się ze swym ukochanym jeszcze z czasów przed porwaniem. Opowieść w XVIII i XIX wieku cieszyła się znacznym zainteresowaniem.

W pięć lat po powstaniu *Aliny* francuski kompozytor Pierre-Alexandre Monsigny stworzył balet oparty na perypetiach pięknej pasterki, a w roku 1828 Gaetano Donizetti skomponował operę *Alina, regina di Golconda* (prapremiera w Genewie, 1828).

Na gruncie polskim dziełem zajął się Julian Ursyn Niemcewicz, który w Warszawie w roku 1792 opublikował tłumaczenie na język polski.

*

Stanislas de Boufflers nie otrzymał święceń kapłańskich. Jak wspomniano, po krótkim pobycie w seminarium duchownym opuścił je pragnąc realizować ambicje związane z wojskowością. Nie chcąc jednak zrezygnować z dochodów (prebenda) wynikających z przynależności do społeczności osób duchownych zaciągnął się w poczet zakonu kawalerów maltańskich. Uczestniczył w wielu kampaniach wojennych, w końcu osiągnął rangę marszałka polnego (1784). W roku 1785 został gubernatorem Senegalu, francuskiej kolonii w Afryce Zachodniej. Na nowej placówce zasłynął jako dobry rządca, szczególnie zapisał się w pamięci miejscowej ludności złagodzeniem znoju wynikającego z handlu niewolników. Powrót Boufflersa do Francji pogrążył w smutku zarówno tubylców jak i mieszkających w Senegalu Francuzów.

W roku 1788 S. Boufflers został włączony w poczet członków Akademii Francuskiej, zaś w roku następnym – Szwedzkiej Akademii Nauk. Po wybuchu Rewolucji Francuskiej (1789) uciekł do Prus. W czasie restauracji monarchii został mianowany bibliotekarzem jednej z najstarszych francuskich książnic – Biblioteki Mazariniego.

Zdobył sławę jako człowiek dowcipny, zręczny w salonowej konwersacji, był uznawany za idola paryskich salonów literackich. W obiegowym powiedzeniu wyrażano się o nim, że jest „duchownym, ale libertynem, wojskowym, ale filozofem, dyplomatą, ale śpiewakiem, emigrantem, ale patriotą, republikaninem, ale dworzaninem”. W roku 1800 poślubił Eleonorę de Sabran. Oprócz *Aliny*... jest autorem szeregu dzieł poetyckich i prozatorskich.

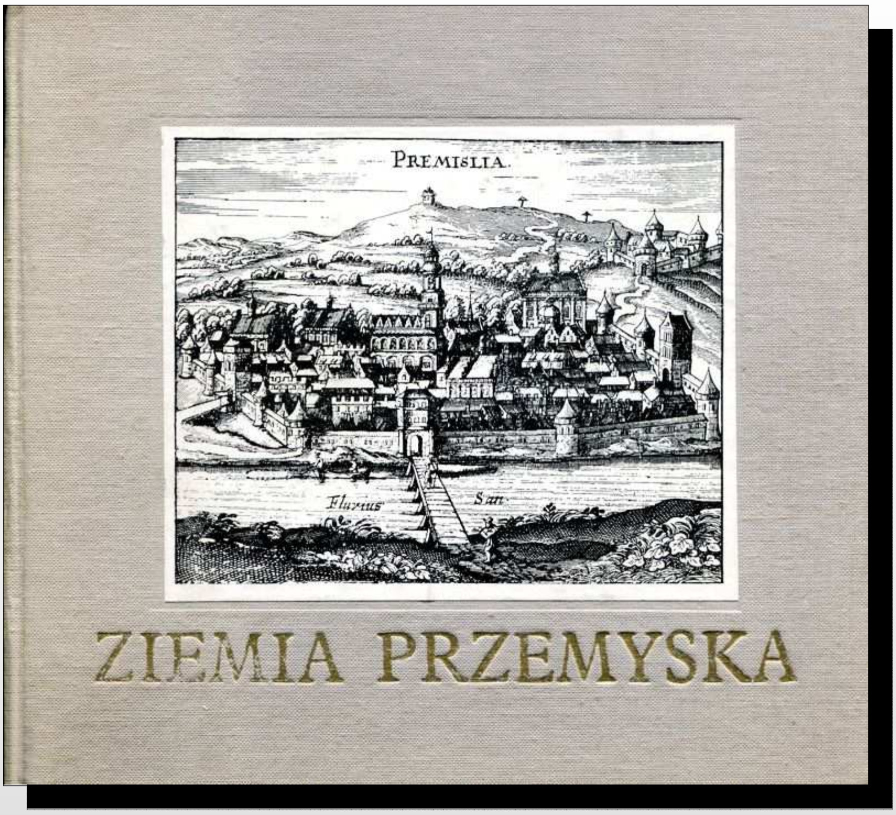
*

Pora wyjaśnić, jak starodruk trafił do Zofii Bystrzyckiej... Właścicielka książki, przemyślanka, wraz z rodziną w roku 1940 została zesłana przez władze radzieckie do Kazachstanu. W roku 1943 zaciągnęła się do 1 Warszawskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, sformowanej w Siedlcach nad Oką (ZSRR). W Dywizji pełniła służbę jako szeregowiec i podoficer w 1 Kompanii Fizylierek Batalionu Kobiecego, w stopniu podporucznika ukończyła szkołę oficerską w Moskwie, pracowała jako korespondent frontowy gazety I Armii WP „Zwyciężymy”. Jako poetka debiutowała w „Wolnej Polsce”, „Nowych Widnokręgach” i pierwszym numerze „Odrodzenia”.

W ZSRR poznała komunistycznego działacza i powieściopisarza Jerzego Putramenta, z którym przeszła szlak bojowy aż do Polski. Romans zakończył się ślubem. W nowym ustroju, już po zakończeniu wojny mąż Zofii Bystrzyckiej zrobił błyskawiczną karierę w dyplomacji, został w roku 1947 ambasadorem w Paryżu. Natomiast Zofia w czasie misji dyplomatycznej męża odbyła studia na wydziale reżyserskim Wyższej Szkoły Filmowej w Paryżu (Institut des Hautes Études Cinématographiques). Zapewne wtedy, być może zainteresowana polsko brzmiącym imieniem autora (*Stanislas*), a może zafascynowana romantyczną historią pasterki Aliny na nadsekwańskim bulwarze bukinistów kupiła dziełko Boufflersa i de Villette'a. Książka przez lata towarzyszyła Zofii Bystrzyckiej.

Na początku lat dwutysięcznych po przeprowadzce trafiła z Warszawy (tam pisarka, powrocie zza granicy i rozwodzie z J. Putramentem osiadła na długie lata) do Poznania. Na początku roku 2011 po likwidacji poznańskiego wyposażenia domu Zofii Bystrzyckiej przez jej bratanicę (poetkę, sic) Barbarę Jęczową starodruk przybył do Przemyśla, gdzie w muzealnej bibliotece zajął miejsce jako cymelium.

Antoni Sarkady



Ziemia przemyska. Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Kraków 1963

Na naszej półce zagościła tym razem książka, która ukazała się blisko pół wieku temu. Nie jest to więc nowość wydawnicza, ale warto o tej pozycji napisać.

Twarda, szara, płócienna okładka, a na niej, oprócz tytułu książki, reprodukcja starego widoku miasta z napisami: PREMISLIA oraz Fluvius [łac. rzeka] San.

W pierwszej części – ponad 70 stron tekstu, zaś w drugiej – około 100 czarno-białych zdjęć (blisko 60 z Przemyśla i ponad 40 z ziemi przemyskiej).

Rozdział zatytułowany Perspektywy rozwojowe miasta i wsi przemyskiej napisał działacz PZPR Wojciech Bania. Jest to dokument tamtych czasów, zawierający trochę ówczesnej propagandy, ale przecież nie tylko. Czytelnik może skonfrontować punkt widzenia autora, przedstawiciela PRLowskiej władzy, z własnymi doświadczeniami, obserwacjami.

Pamiętajmy, że w poniższych cytatach prawie wszystkie zdania (również w czasie teraźniejszym i przeszłym) odnoszą się do przyszłości (tej po roku 1963).

„Przemyśl roku 1980 to miasto 65 tysięcy mieszkańców, zajmujące powierzchnię 25 km2. Dziś liczy Przemyśl 50 tysięcy mieszkańców i zajmuje już powierzchnię roku 1980. [...] Dzieci uzdolnione muzycznie pobierają naukę w nowej Średniej Szkole Muzycznej położonej na Zasaniu. [...] Piękne jest wzgórze zamkowe i odrestaurowany w całości zabytkowy zamek, obok którego jest kawiarnia i muszla koncertowa. Wieczorem korzystać tu można z teatru Fredreum, który cieszy się ciągle popularnością, mimo istnienia Teatru Miejskiego przy ulicy Jagiellońskiej (obok domu towarowego Powszechnej Spółdzielni Spożywców). Możliwości wypoczynku dopełniają Klub Międzynarodowej Książki i Prasy, kluby towarzystw kulturalno-naukowych, nowoczesne kina oraz ogród zoologiczny.[...] W 1964 r. zniknie z terenów kolejowych parowóz. Zastąpi go trakcja elektryczna, z nowymi dworcami na Zasaniu, Przekopanej i Bakończycach. Szereg punktów węzłowych w mieście otrzymało skrzyżowania bezkolizyjne, dające gwarancję bezpieczeństwa ruchu.”

Przytoczyliśmy tu tylko stosunkowo niewielką część planów, wizji, które kreśli w swym opracowaniu Wojciech Bania. Zainteresowanych Czytelników odsyłamy do omawianej książki.

Następny rozdział nosi tytuł: Ziemia przemyska. Rys historyczno-krajoznawczy. Jego autorami są: historyk dr Aleksy Gilewicz oraz pasjonat historii Przemyśla Jan Rożański, którzy wielostronnie podchodzą do zagadnienia. Przedstawiają nie tylko dzieje Przemyśla i ziemi przemyskiej od czasów najdawniejszych do początku lat sześćdziesiątych XX w., ale również zajmują się opisem geograficzno-przyrodniczym tych terenów. Omawiają też przemyskie i podprzemyskie zabytki.

Warto przyjrzeć się około 100 czarno-białym zdjęciom, pochodzącym sprzed kilkudziesięciu lat. Widzimy różnice w wyglądzie Przemyśla – ówczesnym a obecnym. Już na pierwszym zdjęciu, które przedstawia panoramę miasta, rzuca się w oczy charakterystyczna dawniej kopuła na kościele karmelitów. W pożałowania godnym stanie są widoczne na zdjęciach: zamek, budynek dawnej szkoły katedralnej, dworek Orzechowskiego czy kamienice przy Rynku.

Nie ma już w Przemyślu Pomnika Wdzięczności ani pomnika gen. Karola Świerczewskiego, które możemy zobaczyć na fotografiach w omawianej książce. Widocznych na zdjęciach różnic – między obecnym Przemyślem a tym z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku – jest oczywiście więcej.

Zawartość książki dopełniają plan Przemyśla oraz mapka okolic miasta.

Mariusz Frodyma

Michał Kozera rysuje



ERRATA: W poprzednim numerze (70), str. 1 i 17: jest „lwowskie”, ma być; „przemyskie”

HUMOR ŻYDOWSKI

Rabinowi doniesiono, że zamieszkały na terenie gminy wyznaniowej pewien młody, porządny człowiek przeniósł się do wieczności.
– Na co on umarł? – zapytuje rabin.
– Po prostu umarł z głodu.
– Niemożliwe! – oburza się rabi. – Gdyby zgłosił się do mnie, wyjednałbym mu zasiłek z kahału.
– Najwidoczniej wstydził się…
– A więc umarł z nadmiaru dumy! – zadecydował rabi. – Żaden Żyd nie umiera z głodu!…

<<< >>>

Mełamked przerabia z Joslem dzieje Adama i Ewy. Wszystko idzie gładko, aż dochodzą do słowa „isza”, które znaczy „żona”.
Nauczyciel chce pomóc uczniowi i naprowadza go śpiewnym głosem:
– Powiedz no chłoptasiu, „isza” to znaczy żo…
– Żołądź – podchwytuje Josel.
– Nie żołądź, chłoptasiu, ale „isza” to znaczy żo…
– Żołnierz – poprawia się Josel.
– Nie żołnierz chłoptasiu, ale „isza” to znaczy żo…
– Żołądek!
– Nie żołądek, chłoptasiu, ale „isza” oznacza to, co ja mam, co tate ma i co ty będziesz miał, kiedy dorośniesz…
– Josel oznajmia z triumfem:
– „Isza’ to znaczy przepuklina!

<<< >>>

Nauczyciel religii wychwala dobroć Boską:
Jeśli na przykład któryś ze zmysłów człowieka szwankuje, to nasz dobry Bóg zaraz dba o to, żeby inne zmysły były bardziej udoskonalone. Na przykład, ślepiec ma bardzo czuły dotyk i słuch. Może ktoś z was da inny przykład?
Zgłasza się :
– U mego wuja prawa noga jest za krótka, ale za to lewa dłuższa…

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, tel.: 0124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – red. nacz. Współpraca: M. Kozera, Z. Ostrowski, A. Sarkady, J. Schubert

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE
MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE